Nr. 11. Lwów dnia 13. Kwietnia 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każda Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr. we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr. Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica walowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w *„Świcie“* wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

O satyrykach polskich XVII wieku,

studyum literackie

przez

Dr. Adama Bełcikowskiego.

(Dokończenie.)

W czasach, kiedy koryfeusze Satyry pisali dzieła, które wyglądają nieraz na oszczerstwo narodu, nie dziw, że ludzie mniejszych zdolności lub zakreślający sobie szczuplejsze daleko granice w swych poglądach, popadali łatwo w płytkość, płaskość i trywialność. Czyli mówiąc innymi wyrazami, satyryczne ówczesne pisma mniejszej wartości i wagi, wywoływane najwięcej przez chwilową potrzebę, a nawet przez jedno jakieś przypadkowe wydarzenie, schodzą bardzo często do poziomu paszkwilu, a często w tym wyłącznie celu były pisane, aby posłużyć za paszkwil, za środek do wyszydzenia pewnego stronnictwa, pewnej klasy ludzi lub pewnej osobistości. Jeżeli przypomnimy sobie, jaki był wówczas wewnętrzny stan kraju, a mianowicie ustawiczną a nie zawsze szlachetną walkę między tronem a szlachtą, jakoteż stosunek, w jakim stanęły do siebie na równych dawniej prawach ścierające się ze sobą stronnictwa religijne: protestantyzm i katolicyzm, łatwo będzie zrozumieć, że satyra niższego rodzaju, że pamflet i paszkwil były całkiem w duchu owej epoki i jej ludzi. Czasy, które widziały krwawe rokosze, knowania z zagranicą i zdradę kraju, które były świadkiem ulicznych bójek między zwolennikami różnych wyznań i gwałtownych napaści na domy i świątynie, musiały i na polu piśmiennictwa wywoływać podobne bezprawia i walki na oręż podobnego rodzaju. Do nienawiści, jaką pałały naprzeciw sobie stronnictwa polityczne lub religijne, dołączyła się jeszcze powszechna w owej epoce ciemnota, albo raczej obskurantyzm, a z takiego związku mógł się zrodzić tylko płód noszący na sobie cechy poziomości umysłowej i zepsucia moralnego.

Wspomnę tutaj o celniejszych przynajmniej objawach podobnej literatury.

Sejm piekielny albo popis wszystkich złych duchów piekielnych przed książęciem Lucyperem panem i dziedzicem całego piekła (1628, 1752, 1807.). Satyra na zepsucie obyczajów w duchu ludowym napisana. Każdy z dyabłów zdaje przed Lucyperem sprawę ze swych czynności, oświadczając, że wiele dusz piekłu przysporzył. Spraw publicznych ta satyra nie dotyka, ale zawiera ciekawe wiadomości o czarach, gusłach i czarownicach, w myśl ówczesnej wiary ludu. Najniższe też warstwy społeczeństwa są głównie jej przedmiotem. Oprócz znanych nazwisk: Lucypera, Belzebuba, Asmodeusza itd. przychodzą tu narodowe imiona czartów: Smołka, Rogalec, Czarownik, Latawiec, Lelek nocny (bies złośliwy), Przechera, Frant, Klekot, Paskuda, Zaletnik.

Nowe źwierciadło modne dzisiejszego stroju akomodowane damom polskim, które się modno noszą od Jakóba Łącznowolskiego ofiarowane. (1678, 1682.). Satyra wymierzona przeciw zbytkom kobiet w strojach, gdzie w pierwszej części p. t. „Heraklit...“ nad nieszczęsnymi skutkami mody autor ubolewa, a w drugiej p. t. „Demokryt...“ próżność mody wyszydza. Modzie przypisuje ta satyra nietylko stratę pieniędzy, ale i nieszczęścia publiczne, jakich Polska za jej grzechy od lat pięćdziesięciu doznaje, a także i moralne zepsucie kobiet. W końcu przytoczona tu jest osobliwsza powiastka o pewnej elegantce w Holandyi, której duszę po śmierci węże i żaby opadły za utajony przy spowiedzi grzech zbytku w strojach. Autor umiał się nieraz trafnie i dowcipnie wyrazić, jak np. w wierszu:

Niech co pokaże moda, czegoby nie trzeba,
Nie odradzi modniastym i sam anioł z nieba.

Dyalogowanej satyry: „O staciej żołnierz z Teologiem“ pierwsze wydanie sięga jeszcze 1624 r.; wymierzona ona jest przeciwko bezprawiom żołnierzy obciążających niesłusznie dobra duchowne. Według Maciejowskiego dyalog ten podobny jest, szczególnie w początku i zakończeniu do „Rozmowy Dworzanina z Mnichem“

Kromera. Do niego dołączona jest inna satyra p. t.: Prywat, która wyszła także 1649 r. osobno z małymi dodatkami p. t.: Prywat Polską kieruje, Po nim stateczny sługa Rpltej następuje. Autor zamierzył sobie tutaj wykazać, jak bardzo i jak często interes osobisty przemagał wówczas nad dobrem ogólnem. Ale zarazem czuł, jak i wielu innych pisarzy, że mówiąc przeciwko prywacie, popadnie w podejrzenie jakoby na wolność nastawał. Widać jak oba te pojęcia, choć całkiem niesprawiedliwie, pomięszano ze sobą. Broni się więc w przemowie do czytelnika przeciw temu zarzutowi i przywodzi znaczący przykład Solona, który chcąc Ateńczyków do odzyskania Salaminy nakłonić, udawał szalonego. „Tobie także uczynić przyjdzie, jeźlić się ta rozmowa o wolności i prywacie widzi przykra, przyjmij ją jak od szalonego..." Jak autor wystawia ówczesny stosunek obywateli do kraju, można mieć wyobrażenie zaraz z samego początku:

Jam też ktoś i jam coś: cóż się dziwujecie?
Zgadnijcie mi ktom ja jest—płaci (pewnie) nie zgadniecie.
A chcecież że Wam powiem? Zowią mię Prywatem,
Mięso zjadłszy, Ojczyznę rad częstuję gnatem...

Satyr nowy z chorej głowy (9 stron) wyśmiewa nierząd i popłoch pod Piławcami, gdzie było trzech hetmanów. Podobną satyrą na gnuśność rycerstwa i zdrożność obyczajów jest: Lech wzbudzony i lament jego żałośny, widząc tak utrapione państwo r. 1649. Wiszniewski nazywa ten utwór „piękną satyrą."

Były także satyry na życie dworskie, w których szczególnie się odznaczył na początku XVII wieku Jan Dzwonowski (około 1621).

Obiecadło dworskie albo żywot służałych (b. m. i r.) Według Bentkowskiego „i myśli i wysłowienia nie mają nic osobliwego."

Forma albo wizerunek postępków stanów wszelakich wieku teraźniejszego, która pokazuje przestrogi, według których się bez szkody w stanie swoim każdy sprawować ma. (1684 r.) Przyłączony tu jest „dworski lexyk," z którego kilka przykładów może dać wyobrażenie ówczesnych opinii i przewrotności w pewnych sferach:

Blasphemus, dworzanin—Consolatio, dzban piwa—Dissolutus, szlachecki animusz — Expoliator, żołnierz — Factiosus, polityk — Inimicus, sąsiad — Prodigus, dobry człowiek — Virtutum cultor, prostak.

Najjaskrawszym wyrazem paszkwilu są okolicznościowe wiersze pisane na różnowierców. Pojawiały się one i w poprzedzającej epoce jak np. „Anatomia Martinusa Lutra" z 1546 r. i „Poselstwo z dzikich pól od Sowizdrzała do małocnotliwej drużyny" r. 1606—nawet Krzycki pisał ostre wiersze na Lutra, ale pisma podobne z XVII wieku przewyższają je w płytkości i małoduszności.

Bentkowski wylicza cztery takie paszkwile. O dwóch z nich, jako mnie znajomych, mogę dać bliższe wyobrażenie.

List o kozakach polskich do D. Martyn Luter od śląskich i czeskich Efangelików przez X. Nikiel Habspert Minister Ferbi Dei Zboru wrocławskiego z Niemieckiego na Polskiego przełożony R. P. 1636. Jest to niby list od Ewangelików do Lutra ze skargą na psotę, jaką Lisowczycy pewnemu Ministrowi wyrządzili w Wrocławiu, nasypawszy mu do pluder prochu i podpaliwszy go; pisany zepsutą polszczyzną.

Witanie na pierwszy wjazd z Królewca do Kadłubka Saskiego Wileńskiego Ixa Hern Lutermachra. Drukowano w Wittembergu r. 1642 dnia wczorajszego. Ten nowo przybyły do Wilna Minister popisywał się na kazaniu z greczyzną:

Przed Baby Babilończyk po grecku wywija
Kieliszki przed Saskami Ateńskie wypija —

co dało powód do napisania tego paszkwilu, dotykającego i wszystkich Lutrów w ogóle. Pomiędzy innemi pisze np. w tej satyrze Kozak Sienko Nalewajko do tego Ministra (po rusku), dając mu przyjacielskie nauki o greczyźnie. Rabin rozmawia o nim ze Szkolnikiem i chce żeby nawrócił Ministra na wiarę żydowską, bo inaczej wszystkich Żydów po grecku nauczy i Talmudy przepadną itp.

Przeciw Aryanom znów wymierzona jest satyra p. t. Rakowska wiara 1652, gdzie autor miota potwarze na pewnego (P. T. S.) ministra łucławskiego, oskarżając go, że łotrował i rozbijał w okolicach Zakliczyna.

W podobny sposób nie oszczędzali i innowiercy katolików. Tak Jan Rzeczycki, zapalczywy kalwin, w satyrze: Żywot błogosławionego i poczciwego człowieka.. 1644 powstaje na duchowieństwo, szczególnie na Jezuitów, których nawet nie chce uznać za swych bliźnich, wyszydza zakonników i obrzędy kościelne.

Nakoniec i walka między tronem a szlachtą, niezadowolenie jakie obudzał często dwór królewski albo też polityka dworska, wzajemna niechęć stronnictw, tak często się wówczas ścierających ze sobą, pozostawiły także i w piśmiennictwie ślady po sobie. Nie wstydzono się używać za broń paszkilu i pamfletu, a nienawiść w obelżywych nieraz wyrazach, w gwałtownych wybuchach, szukała dla siebie niejakiej ulgi. Tak jeszcze wcześniej nieco, z natchnienia dworu Zygmunta III, albo też króla samego napisano: „Paskwiliusz dworny" (znajduje się w Atheneum Kraszewskiego z roku 1845), wymierzony przeciwko szlachcie. Płody te jednak obiegały po największej części w pisanych kopiach po kraju i dzisiaj napotykamy je dosyć często po dawnych rękopisach i Silvach rerum. Ich styl i język jest tego rodzaju, iż nie mogły w druku na widok publiczny się pokazywać—wyrażają się bez żadnej godności i w najgrubszych słowach o osobach nawet najwyżej położonych i nieraz takich, które bynajmniej na podobne obelgi nie zasługiwały. Potomność umie dzisiaj rozsądzić, komu podobne utwory hańbę przynoszą—czyli ich przedmiotom, czy ich autorom.

ANAKREONTYK.

(Do M...)

Wszystko zmienne! któż zaprzeczy?
I ja także w dni mych ranku
Oj! lubiłem inne rzeczy,
Mój Maryanku!

Miłe słówka myśl pamięta:
„Moja luba!" „Mój kochanku!"
Oj! lubiliśmy dziewczęta,
Mój Maryanku!

Dziś małżeńskie wiążą śluby,
Piszczy dzieciak na kolanku.
I ja stary — i tyś gruby
Mój Maryanku!

I nie pięknie, każdy przyzna,
Kłuć bodiakiem w kwiatów wianku,
Nie dla dziewic już siwizna,
Mój Maryanku!

Życia jesień — istna słota,
Komuż dożyć jej bez szwanku?
Miłość złota, młodość złota,
Mój Maryanku!

Póki człowiek pstro miał w głowie,
Sercem płonął jak w kaganku
Co za humor! co za zdrowie!
Mój Maryanku!

I o zbiory człek nie pytał
I nie płacił rat do banku
I sejmowych mów nie czytał,
Mój Maryanku!

Dzisiaj starość, dyabła warta!
Wśród kłopotów bez ustanku
Chyba szklanka, chyba karta,
Mój Maryanku!

Lubięż z tobą, gdy zabrzękną
Kielichami przy śniadanku,
Wspomnieć życia wiosnę piękną,
Mój Maryanku!

O ubiegłej, o wietrznicy
Czerpmyż pamięć w wina dzbanku!
Dajno klucze od piwnicy,
Mój Maryanku!

Adam Pajgert.

Na wieść o śmierci Mazziniego.

Nie środków twoich, lecz celów potędze
Cześć! — boś im wiary do końca dochował —
Co ty począłeś, naród dobudował
Wierny jednego człowieka przysiędze!
Dziś, stoi arka Italskiej „jedności,“
Z kajdan żelazo na nią tyś ukował!

W pętach ubóstwa dumnieś ty królował
Wśród prześladowań... szyderstw... samotności!..
I w wiecznej księdze twe imię ryć będzie
Duch dziejów, gdy u stóp wieczności siędzie,
O Jezuito — Wolności!!!

Ernest Buława.

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Silvo dalej opowiada.

Kiedym się przebudził, była noc głęboka—i gwary miasta ustały. Nademną szeptały z sobą liście pomarańczy. Przedemną płynął w kamiennem łożysku Guadalkwiwir pod srebrną szatą odblysków księżyca. Dokoła schylało się niebo ku ziemi, wspierając swą lazurną kopułę na krańcach pierścienia widnokręgu. Letargowi grodu Almanzora przyświecały gwiazdy, milkły przestrzenie. To gdzieś zaszumią lasy, gdyby topiel wezbrana. To się gdzieś ozwie w górach samotna kantilena arrierosa. To znów gitara zabrzęczy w ogrodach Alkazaru, lub zatętnią dzwoneczki mułów kontrabandysty, kryjącego się w mrokach nocy pośród przepaścistych bezdroży Sierry. Wszystkie te przejawy życia człowieka i natury jeszcze się mi wybitniejszymi zdawały na tle milczenia grodu, w którym biedny wygnaniec nie miałem ani gdzie głowy położyć, ani czem ukoić głodu. Lecz młodość obfita w pociechy. Dotknięta rzeczywistością omgli się na chwilę, zamroczy i znów ją ułuda owionie, otucha pokrzepi, wesele opromieni. Znów ona wierzy, kocha, nadzieją dal życia oświeca, poezyą chłód świata ogrzewa. I jam był młody wtedy—bardzo młody—cóż dziwnego, że snem pokrzepiony weselej na życie spojrzałem i wrodzoną poetycznością duszy nad ziemskie wyleciałem troski? Ta noc przecudna wiejąca harmonią i balsamem—ten przestwór zewsząd otwarty dla porywów niepodległej woli mojej — sama ta nawet awanturniczość przebytych kolei i tych, jakie mię jeszcze w przyszłości oczekiwały, wszystko to było bodźcem i zachętą dla mar i nadziei młodości mojej, obcej dotąd światu, a więc nie znającej świata. Kilka granatów zerwanych z drzewa ukoiły nieco głód mój. Rzeczna woda zaspokoiła pragnienie. Dumy i zachwyty ognistej wyobraźni skróciły ciąg nocnej godziny. Prędko więc ta noc przebiegła dla mnie.

Skoro nastał poranek poszedłem szukać mieszkania Don Perez'a. Przechodnie (a tych spotkałem niewielu) nie umieli mię o nim poinformować. Na szczęście usłyszałem zwykły okrzyk wodonosza: *„Què quiere agua?... agua mas fria que la nieve?...“* *) i wkrótce wyszedł z bocznego zaułka człek młody jeszcze z dwoma konewkami wody w rękach — a gdym się doń zwrócił z pytaniem, zaśmiał się głośno i rzekł:

— *Caramba!* toś ty widać nie tutejszy, kiedy nie znasz Don Perez'a Vasconvallos? Nie ma na świecie takiego drugiego, jak on. Wszyscy my znamy go w Kordubie. Patrz na ten dom z dachem czerwonym. To jego dom. *Dios guarde a usted!* *)

Kiedym wchodził do wrót domu Don Perez'a, głos kobiecy wcale nie melodyjny, kaleczył niemiłosiernie wiadomą balladę *Los infiernos* o podziemnem piekle Loxy u jednego z okien górnego piętra. W dwóch ostatnich oknach na oścież otwartych sterczały główki jakieś dziewicze, pulchne, rumiane, figlarne i patrzały na mnie ciekawie. W drzwiach dolnego piętra stał mężczyzna lat około 60ciu, wysoki, nerwisty, bladej i wyrazistej twarzy, orlim nosem opatrzonej i palił cigarillo. Strój jego nie wyrażał żadnej narodowości wyłącznie, a wszystkie przypominał. Andaluzkie Sombrero dawało

---

*) Kto żąda wody? Wody ~~bielszej~~ świeższej od śniegu?
*) Bóg z tobą.

*

mu pozór Hiszpana, maurytańskie albornos srebrnymi guziczkami zapięte, napominało dawnych Abencerrażów Grenady, z obcisłych spodni sinej barwy sądziłbyś, że widzisz przed sobą syna północnej Europy, a lekkie czyzmy, bez podeszwy, co nogę jego ciasno otulały, nawodziły mniemanie, że był rodowitym highlanders'em skalistych glen'ów Szkocyi. W tej ekscentryczności westimentalnej przejawiała się na zewnątrz oryginalność jego moralnej natury.

Don Perez (albowiem on to był) zmierzył mię od stóp do głowy, pokręcił wąsa, skręcił sombrero na bakier i rzekł tonem pytającym:

— *Hijos de esta ciudad?* *)

— *No sennor!* *)—odpowiedziałem—idę z Grenady i jestem synem don'a Alonza Silvy.

— *Santa Maria!*—zawołał zdziwiony—Alonza? poczciwego Alonza i donny Elviry Aguilar, co taka podobna z charakteru do owej energicznej Aixy la Horra, matki Boabdila el Chico, *) że ją nazywałem zawsze królową Grenady i Sułtanką Alhambry?

— Tak *sennor*— rzekłem— donna Elvira matką moją.

— No, to chodź do mnie! — wykrzyknął otwierając ramiona — niech cię uściskam! Wszakżeś mój bliski krewny!...

I pochwycił w żylaste objęcia i całował gorączkowie i radość swoją gardłowym jakimś urwanym jękiem wyrażał. Poczem porwał za rękę, wprowadził do pokoju, usadowił na kanapie, a sam biegając od kąta do kąta, z młodzieńczą żywością znosił z różnych szafek i kramów bółki, ciasta, ser, masło, owoce, stawiał przedemną na stoliku i wzywał, żebym się posilił, a wzywając chichotał, podrygiwał i zacierał ręce z zadowoleniem. Ledwie się uspokoił znowu skoczył ku drzwiom i zaczął wołać na całe gardło:

— Donna Sol!... Juannita!... Carmen!... Dolores!... Pepita!... a chodźcie no prędzej!... miłego mam gościa!... Jednym susem do mnie!... Na powietrzu do mnie!... *Per Dios!*

Potem zwracając się ku mnie rzekł:

— Poznasz moją siostrę. Oryginalna baba! Po całych dniach szepce litanie, mruczy pod nosem pacierze, a gdy się jej sprzykrzy, beczy swoim kozim głosem swoje przeklęte *los infiernos*. Ale jakich narodziła córeczek? *Caramba!* jedna od drugiej piękniejsza! Obaczysz!

W tej chwili zabębniły drewniane schody pod skwapliwem stąpaniem i cztery właścicielki owych ponętnych twarzyczek, co się mi z okna przypatrywały, wbiegły do pokoju. Były to rzeczywiście hoże, świeże i nader miłe dzieweczki. Szykowne, zręczne, polotne, jakby je natura umyślnie dla tarantelli, fandanga, lub zambry na świat wydała. Wkrótce wsunęła się poważnie sama donna Sol, pergaminowie żółta, sucha i wysoka matrona, na obliczu której z pod oficyalnej maski dewotyzmu wyglądały zwiędłe cechy dawnej zalotności niezręcznie tartuferyą przykryte.

— *Santa Madre de Dios!* — wykrzyknął Don Perez z komicznym wyrazem przerażenia — Co z tobą miła i piękna siostruniu! Czegoś taka blada i surowa? Wyznaj, święty jakiś musiał ci nakręcić uszy za to, żeś mu litaniami swemi dokuczyła. Mówiłem ci nieraz: Daj im czysty pokój! nie bądź natrętną! Nie słuchałaś! Ale, ale, ten oto młodzieniec, co piecze raki przed tobą, to Pedro Silvo czyli właściwiej Pedrillo, bo mu się jeszcze wąs nie zasiewa. On bliski nasz krewny i nie wątpię że dobry chłopiec. Polecam więc jego samego twoim łaskom, a duszę jego twoim litaniom, psalmom, godzinkom, antyfonom, których masz zawsze pełną gębę, czemu zapewne przypisać należy, że takie puszczasz gęsiory, kiedy swoje ulubione *Los infernos* zawodzisz.

Uśmiechnęła się żółciowo Donna Sol na ten wywybryk poczciwego dziwaka, a gdym się do niej zbliżył z uszanowaniem podała mi sztywnie rękę do pocałowania i nie wyrzekłszy słowa kiwnęła głową i oddaliła się z pokoju.

— *Caramba!* Otóż nawarzyłem sobie piwa! — przemówił Don Perez, śmiejąc się do rozpuku—będęż miał teraz pełny dom grymasów i kaprysów za tych kilka słów prawdy, które mi się jakoś z gęby wyrwały. O! ta prawda! Nigdy mi na sucho nie uszła! Sam dyabeł widać w niej siedzi!

Juannita, Carmen, Dolores i Pepita nie wtórzyły, ma się rozumieć, porywom jego sarkastycznego wesela, albowiem byłoby to uchybieniem względem matki, którę nawykły poważać i nie kochać nie mogły. A do tego przytomność moja była pewnym rodzajem hamulca, powstrzymującym wrodzoną ich skromność od niewczesnych przejawow na zewnątrz tego, co się na dnie ich uczuć taiło. Były to czyste i jasne dusze, ciepłe i poetyczne, chęciom nagannym niedostępne, złej myśli niepojmujące, dusze jak białe lilie wonnemi korony swemi ku niebu otwarte, w słońcu i w eterze wypielęgnowane! Dwie starsze siostry Carmen i Dolores różniły się tylko od dwóch młodszych lekkim odcieniem melancholii, łagodzącym ognistość ich południowego oka. Juannita i Pepita mniej bliskie dojrzałości a następnie więcej niezależne od wrażeń poruszających życie moralne kobiety, były całe weselem, swobodą, dziecinną prostotą. Kiedy tamte pytały już serca czegoby pragnęło? i badały losu jaką im przyszłość gotował, młodsze nie pytały jeszcze serca, bo dotąd nie przemówiło i nie badały losu, bo przyszłością ich była jeszcze tylko teraźniejszość. Don Perez wydrwiwał surową powagę donny Sol i nieraz jej wygórowanemu dewotyzmowi ostro przycinał—a jednak któż z głębiej biorących rzeczy nie przyzna, że ta jej powaga i szeroki asketyzm były właśnie stroną dodatnią macierzyńskiego posłannictwa i główynym jego czynnikiem w przedmiocie poskromienia żywych charakterów, skłonnych odmówić należnego uznania obowiązkowi uległości i uszanowania? Donna Sol zrzędziła ciągle na brata, oburzała się nań za jego humor wesoły, żartobliwy, swawolny, ba nawet zanadto emancypowany czasami, od którego się dlatego tylko nie rumieniła, że dawno już rumieniec o twarzy jej pergaminowej zapomniał — a jednak nie ma wątpliwości, że i ten żywioł wesela samorzutnie z duszy prawej Dona Perez'a tryskający, wpłynął zbawiennie na charakter jego siostrzeniczek, których naiwną szczerość i wesołe usposobienie (rygoryzmem matki zagrożone) jemu przypisać należy. Z dwóch tedy kontrastów duchowych, jednocześnie z właściwego sobie punktu działających, powstała doskonałość moralna Juannity, Carmen, Pepity i Dolores.

Dwie niezgodne z sobą, chociaż równie skuteczne siły oszlifowały te cenne dyamenty do nieskazitelnego poloru i olśniewającego blasku. W obec tych nadobnych i niewinnych istot czułem się kornym i nieśmiałym. Języka, jak to powiadają, zapomniałem w gębie. Przed jedną zwłaszcza, przed jedną, niewypowiedzianego doznawałem wzruszenia. Nie była to jeszcze miłość, ale było coś podobnego do niej. Przepędziwszy kilka tygodni

*) Czyś synem tego miasta?
*) Nie, panie.
*) Ostatni król Grenady.

w gronie tej zacnej i uprzejmej rodziny, miałem, zdaje się, dość czasu oswoić się z wrażeniami memi — a jednak świeżość i żywe poczucie tych wrażeń nie zmniejszały się we mnie—owszem wyższego jeszcze sięgały szczebla, gdym głos nadobnej Carmen usłyszał, lub ją samą ujrzał przed sobą. Niepojętego coś spełniało się wtedy we mnie. Była w tem błogość i niespokojność razem. Było niewypowiedziane wesele całe jestestwo moje ogarniające, a jednak smutkiem omglone. W miarę tego jak się dnie pobytu mego u Dona Perez'a pomnażały, gasła poprzednicza wesołość moja — i Carmen nie tą już była, co pierwej. Nieraz bywało unika mię — lub obojętnie powita. Nieraz błądzi samotna po cienistych alejach ogrodu, wyłączając się z grona sióstr swoich, rzeświących się wesoło na łące za babką lazurną lub złocistym motylkiem. Donna Sol wiecznie w litaniach pogrążona nie mogła zauważyć tej nagłej odmiany w usposobieniu swojej córki a tem samem zapobiedz onej—Dona Perez'a nie było w domu. Cóż dziwnego, że niczem niepowstrzymany prąd uczuć naszych coraz żywszego nabierał pędu, coraz się w potęgę wzmagał?... Z hożej, barwą róży świecącej Carmen, cóż pozostało? Szkarłaty lica uwiędły—uśmiechy duszy uleciały! I jam się też bardzo odmienił. Kiedym się wpatrzył sam w siebie, poznałem, żem nie był ten sam, co pierwej. Nowe pragnienia zajęły miejsce dawnych — a wszystko, co we mnie żyło, pałało, świeciło, mar i żądz młodzieńczych ideałem było i rozstrzelało się z duszy w doczesność na różne przedmioty i cele — wszystko to zbiegło się napowrót do duszy i rozpłomieniło się w niej straszliwym pożarem występnej, bezrozumnej miłości! Odkrycie to przeraziło mię. Z własnego stanu pojąłem ja wtedy i stan biednej Carmen. Cierpienie, jakiegom w sobie doświadczał, nauczyło mię ocenić i jej cierpienie. Zadrgała fibra szlachetna serca. Głos sumienia przemówił surowo. Bóg oświecił mię i pokrzepił. Postanowiłem przezwyciężyć siebie, skruszyć łańcuch czarodziejski, co jestestwo moje krępował, oddalić się niezwłocznie, oddalić się pokryjomu. Dokąd? sam nie wiedziałem. Wreszcie była to dla mnie rzecz podrzędna. Nie szło mi wcale o to, co się ze mną stanie— lecz o to, żebym się czarną niewdzięcznością za doznaną opiekę i przychylność nie zhańbił, żebym w sercu niewinnej Carmen nie podsycał przytomnością moją uczucia bez celu, które spokojności jej groziło i życiu.

Noc była. W komnacie Donny Sol mrugało jeszcze światełko. W mieszkaniu jej córek było ciemno. Spały— ale czy wszystkie? Pokoik, w którym mię Don Perez pomieścił, był niegdyś sypialnią jego ojca i pozostał takim, jakim go nieboszczyk umierając zostawił. Na jednej ze ścian onego wisiał starożytny wizerunek Matki Boskiej bolejącej, znakomitego jakiegoś pędzla. Boskie oblicze tchnęło słodyczą i miłosierdziem. Łzy cierpienia nie było w źrenicy, bo łza, to godło ludzkiej słabości. Lecz każdy rys świętego oblicza przemawiał taką niezmierną boleścią, tak rzewnie prruszał serce i całe jestestwo człowieka na ton uroczysty nastrajał, że cierpiący, samotny, nieszczęśliwy, padłem na kolana, uderzyłem czołem hołdownie i gorącą modlitwę moją łez rzęsistych oblałem strumieniem. Mdłe światełko lampy wiecznie nad obrazem gorejące, nadawało pozór łudzący życia boskiej twarzy, boleśnie ku piersi skłonionej. Zdawało się, że baczy błaganiu mojemu, opiekuńczem wejrzeniem do mego wnętrza przenika, że w niem promienie swej łaski i miłosierdzia swego roztacza. Jeżeli to nie było prawdą, a tylko błędem rozognionej wyobraźni, o! był to błąd poruszający, zbawienny, święty! On pokrzepił siły moje, utwierdził ducha w szlachetnym zamiarze, uzacnił i podniósł jestestwo moje z upadku! Powstałem przerodzony, mężny, spokojny i pobłogosławiwszy domowi, co przytulił biednego wygnańca, opieką i miłością otoczył, wyszedłem na ulicę, a z obawy żeby nie osłabnąć w przedsięwzięciu, pobiegłem nie oglądając się nazad całą mocą pędu, pobiegłem sam nie wiedząc dokąd? i po co? Ach! bo zamęt serca nie dozwalał mi obrać sobie toru, wyrozumować właściwego celu. Cierpienie wprawiło mię w stan zupełnego zobojętnienia dla świata i życia. Biegłem kędy traf prowadził, kędy niosły nogi. Daremnie meczet Almanzora zabiegł mi drogę na tysiącu kolumnach swoich. Minąłem go bez baczenia! Daremnie mury Korduańskiego Alkazaru zagwarzyły swoją legendę wieków. Nie słuchałem i biegłem dalej — a za mną goniły śladem poważne szumy palm Abderama, westchnienia ruin szkoły Awicenny i Awerroesa, dalekie odgłosy Sierry, szmery fal Guadalkwiwiru. Gdyby olbrzymia lutnia brzmiała zewsząd przestrzeń tysiącem stron swoich przelewając się na różne łady w akordach swej uroczystej symfonii. Gwałtowne tętna uderzały mi w łonie. Skroń pałała boleśnie a źrenica ślepa na wszystko nic nie widziała przed sobą krom rzewnej postaci Carmen w niezliczonych formach fantazyi przytomnej, z bladością smutku, ze łzą cierpienia, z jękiem sercowej rozpaczy.

(C. d. n.)

Głębia morza i głębia powietrza

przez

Dr. TOMASZA STANECKIEGO.

(Dokończenie.)

Przenieśmy się myślą daleko po za granice atmosfery i oglądajmy ją okiem ducha, a obaczymy w niej tu i owdzie rozrzucone i przesuwające się plamy mniej lub więcej ciemne, przy biegunach zaś płaty białe, naprzemian przez pół roku błyszczące; owe zaciemki zmieniające swe miejsce i kontury, są to obłoki warstwami rozwleczone albo kłębiasto spiętrzone, a te białe pola to powłoka lodowa krain przybiegunowych. Podobne zjawiska spostrzegamy za pomocą teleskopów na tarczy Marsa, z czego wnosimy, że ten planeta jest otoczony atmosferą i że przy biegunach pokrywają go masy śniegu i lodu. Pozostając na stanowisku wyż wspomnianem obaczymy na powierzchni naszej atmosfery takie ruchy peryodyczne, jakim podlegają wody oceanu, t. j. kolejno po sobie następujące wzbieranie i opadanie, czyli przypływ i odpływ nurtów powietrznych. Że się te poruszenia w dolnych warstwach nie ujawniają, łatwo wyrozumieć, zważywszy, jak głęboki jest ocean powietrzny: to też obserwacye barometryczne skierowane do wyśledzenia przewidywanych skutków działania sił przyciągających słońca i księżyca na tak ruchliwy płyn, jakim jest powietrze, nie doprowadziły jeszcze do rozstrzygających wypadków. Mead

utrzymywał wprawdzie, że księżyc sprawiać musi nierównie większy przypływ w powietrzu aniżeli w wodach, nie miał jednak na to twierdzenie dowodów. W najnowszym czasie zajmował się tym przedmiotem badań Dr. Neymayer w Melbourne i dopatrzył w pięcioletnich spostrzeżeniach niezaprzeczony objaw wpływu księżyca na stan barometru.

Szukajmyż teraz dolnych krańców atmosfery. Powietrze przyległe ziemi wciska się w jej rozpadliny i podziemne jamy. Im więcej się zagłębi, tem większego doznaje ciśnienia od słupa powietrza, który na sobie dźwiga, tem bardziej więc musi być zgęszczone. Na zasadzie prawa Mariotta można oznaczyć gęstość powietrza w różnych głębokościach. Otóż rachunek oparty zarazem na tem przypuszczeniu, że ciepłota wszędzie jest jednakowa, poucza, iż w głębokości jednej mili powietrze musiałoby być blisko 30 razy gęstsze od powietrza znajdującego się przy poziomie morza, w głębokości dziesięciu mil, t. j. blisko $^1/_{86}$ promienia kuli ziemskiej, równałaby się gęstości rtęci. Już z tego wnosić wypada, że tak zgęszczonego powietrza nie ma we wnętrzu ziemi, musiałaby bowiem średnia gęstość tejże być o wiele większą od wyniku wszystkich dotychczasowych badań i obliczeń. Nadto liczne spostrzeżenia przekonywują, że począwszy od pewnej warstwy, której ciepłota jest stalą, temperatura skorupy ziemi wzrasta ku środkowi i o ile polegać można na wypadkach odnośnych poszukiwań, już w głębokości pięciu mil geograficznych jest tak wysoką, że żelazo i bazalt w stanie ciepłym utrzymuje; oczywiście więc skwar ten opiera się zgęszczeniu gazów we wnętrzu ziemi i kładzie niejako tamę ich wciskaniu się w dalsze głębie.

Ocean wodny i ocean powietrzny nie przestrzegają wspólnej granicy; jeden wdziera się w przestwory drugiego. Powietrze wnika w pory wody, by tam służyć do utrzymania i rozwoju organizmów roślinnych i zwierzęcych. Woda morska pochłania, jak fizyka uczy, pod zwyczajnem ciśnieniem atmosfery dwie do trzech setnych części swej objętości gazów powietrznych. Przypuśćmy, że wszystka woda oceanów rozlana jednostajnie po całej powierzchni ziemi tworzyłaby warstwę 1.000 metrów grubą; w takim razie powietrze w niej zawarte ważyłoby tyle, co warstwa wody na 33 millimetrów gruba. Ilość powietrza w wodach wszystkich mórz zamkniętego nie przechodzi $^1/_{300}$ zasobu znajdującego się w atmosferze.

Woda wdziera się ustawicznie w przestrzeń atmosfery, gdzie już to rozprasza się w postaci pary niewidzialnej, już tracąc swoje ciepło tworzy nieprzeliczone roje pęcherzyków czyli baniek, które mącą przeźrocze atmosfery i to albo blisko ziemi jako mgła, albo też w mniej więcej znacznej odległości jako chmury. Ale nie zawsze sąsiadują z sobą spokojnie ocean wodny i ocean powietrzny. Zdarzają się częstokroć szalone harce rozsrożonych na siebie żywiołów. Trąba powietrzna w kształcie olbrzymiego woru czyli wydrążonej kolumny, prostej lub powyginanej, kręcącej się około swej osi, albo też w postaci ostrokręgu, zwieszającego się z obłoku wierzchołkiem na dół i również wirującego. 30 do 1500 stóp długa, dopadłszy powierzchni morza porywa spienioną falę w gwałtowne objęcie, a zakręciwszy ją rozdziera na tysiączne krople i wyżłabia w zaburzonych zatopach ślad swego dzikiego pochodu, miotając przytem strumieniami wody na wszystkie strony. Niekiedy wyrzuca z siebie gromy, albo się sama przeszywa ognistymi wężykami, przygłuszając gniewny szum morza strasznym świstem i rozlegającym się łoskotem grzmotu.

Pod wielu względami są do siebie podobne ocean wodny i ocean powietrzny. I w jednym i w drugim zachodzą tu i owdzie gwałtowne wzburzenia, pędzą stateczne prądy, odbywają się sporadyczne przelewy—i w jednym i w drugim mieszczą się miryady istot żyjących—i jeden i drugi od czasu do czasu górną swą powierzchnię oblewa zachwycającem światłem, ocean wodny fosforycznym blaskiem żyjątek mikroskopijnych, ocean powietrzny rozciąga w swych najwyższych warstwach wspaniałe baldachimy tajemniczej zorzy północnej i południowej.

MĘCZENNICY FANTAZYI.

NOWELLA

z niemieckiego

LUDWIKA FOGLARA.

(Ciąg dalszy.)

Tu Fryderyk w najgłębszem wzruszeniu spojrzał na obie siostry i czytał dalej:

— „Prawdziwe cierpienie podnosi. Kto stąpi na nieszczęście swoje nogą, stoi wyżej. I cudownem to jest, że dopiero cierpiąc, czujemy wolność naszej duszy. Wszystko się starzeje, ale też wszystko się odmładza. Czy tylko człowiek byłby wyjątkiem w cudownem prawie natury?... Tak! bo w nas zawarte jest niesłychane dążenie do bycia wszystkiem, które woła z nas, jak Tytan grzmiący z głębi Etny.“

„Cokolwiek żyje, wieczne jest, mimo swej niewoli pozostaje niezniszczonem, pozostaje jednostką, choćbyś poszarpał na szmaty i do szpiku podruzgotał — mimo tego pozostanie niezranionem i niezwyciężona istota z ręki ci uleci!“

„Lękamy się zawistnego losu nietyle dla nas, ile dla tych, co nam są drodzy.“

„I jeszcze raz, Diotimo... czarowna duszo......“

Fryderyk raptem zamknął rękopism, chwiejąc się powstał i bez pożegnania rzucił się w noc czarną.

Obie kobiety padły sobie w objęcie.

Fryderyk wcisnął się między tłumy przepełniające dom gry hazardowej; szedł, sam nie wiedząc, kędy, byłby zaszedł w las płonący—był w gorączce, która przybrała rozmiary tryumfujące nad wszelką inną siłą. Przy stole Faraonowym siedziała garść ludzi grą rozbestwionych, zbiór typów zezwierzęconych wszystkich stanów i krajów świata. Tylko głos markiera i dźwięk brzęczącego złota rozlegał się do koła. W sali panowała jakaś duszność ohydna, zabijająca, mnóstwo wchodzących i wychodzących ludzi. Fryderyk docisnął się do banku, rzucił sztukę złota, w okamgnieniu wygrał, potem z najzimniejszą krwią drugą, trzecią z równem szczęściem i w chwili leżała przed nim kupa złota.

Twarz jego płonęła, oczy bielmem zaszły, wygrywał ciągle, nagle przegrał wszystko, wyrzucił na stół

co tylko miał przy sobie. Właśnie chciał cisnąć na stół, ostatnie co miał: rękopis swego Hyperiona, kiedy uczuł się pochwyconym za ramię.

— Mój młody przyjacielu — rzekł za nim stojący Orbes — chodź raczej ze mną.

Fryderyk zdziwiony tą serdecznością, której nigdy od niego nie doznał, ulegle jak dziecko poszedł za nim, znużony i prawie bezprzytomny.

Obaj odeszli do odległego pokoju i połączyli się z towarzystwem czytających mężczyzn. Dzienniki szły z rąk do rąk, rozmowa się ożywiła pod naciskiem chwili politycznej. Upokarzający pokój tylko co zawarty dawał gorzko uczuć, pod jakby żelaznej ręki ciśnieniem znajdowały się ówczesne Niemcy, jak książęta i ludy razem dźwigały ciężkie głazy do budowy przyszłych więzień, jak naród pełen sił przepadał pod wodzą niesumiennych przywódzców, a samym synom jak pilno było w pęta niewoli okuć—własną matkę. Fryderyk począł się budzić z swego letargu, sprawa ludzkości jak u Ulricha Huttena, zawsze była—jego sprawą. Zawsze był gotów do poniesienia za nią ofiary, tembardziej dziś, kiedy ból zapukał do jego swobodnej piersi i szarpnął nią tak dziko.

Głosy oburzenia zawrzały do koła, gdy jeden z towarzyszy głośno odczytał ustęp o pewnym znakomitym uczonym, który z powodu liberalnych pojęć głośno objawionych, wyzutym został z godności i posad, jakie zajmował i stał się pastwą nikczemnego prześladowania. Orbes wspomniał fakt upokarzający kongresu Rastadzkiego. Podniecone umysły wulkanicznie zawrzały, nie posiadano się w słowach oburzenia, niemniej pewien wymokły senator o pergaminowej twarzy porwał się flegmatycznie na apologię reakcyi, ochrypłym głosem dowodził, że ona jest dobrodziejstwem, podejrzywając wszelkie usiłowania zwrócone ku odrodzeniu zbutwiałej społeczności młodej Europy, obrzucając błotem sarkazmów i potwarzy wszystkich zapaśników emancypacyi ducha.

Fryderyk podniósł się, piękny szlachetnem oburzeniem, które granic już nie znało i nim wyrzekł słowo wszystkie oczy nań były zwrócone—piorunującym wzrokiem wzgardy przeszył Senatorską Mość, która zmięszana utonęła w fotelu miętosząc jakiś dziennik.

Wreszcie wybuchnął Fryderyk:

— „I ci ludzie mają czoło zwać się Niemcami! To członkowie narodu, mającego w sobie zarody zgnilizny! Barbarzyńcami ich nazywam, stokroć jeszcze zdziczałymi przez wsteczną pilność, umiejętność, religię fałszywą! Ostatni mowca nie mówił z siebie, jest on narzędziem nędzników, organem wsteczności! Reprezentantem części narodu zgniłej i chorej, zepsutej do szpiku, niezdolnej podnioślejszych uczuć, obruszającej każdego szlachetniejszego ducha, niemniej i bez harmonii, jak czerepy potłuczonego naczynia."

„Litować się można nad jednostką uwięzioną w ciemności ograniczenia, ale opłakiwać już trzeba naród, który mając głębokie rany nie stara się ich zagoić!... Przebóg! co za rozdarcie wśród konieczności najsilniejszego skupienia! co za omdlenie przy tylu siłach, co za samolubstwo w obec rozchodzących się krzyków grozy i niebezpieczeństwa! Rzemieślników mnóstwo, a nigdzie ludzi, rozmyślaczy, kapłanów! tyrani i niewolnicy, dzieci a starcy, durnie i Salomony—ale nie ludzie! nie ludzie! Pobojowisko pełne rąk i nóg, kędy krew żywa płynie nietamowana. Nawet cnoty wasze, o Niemcy! są tylko świecącą nędzą!... koniecznością z konieczności! wytargowaną przez tchórzostwo — na niewolnikach!... Bez poparcia zostawiacie każdą szlachetniejszą duszę, która przystępna pojęciu piękna, która nie zniesie zgrzytu z jakiem dobro ściera się i ulega w walce z złem — krzyku, który w niebogłosy woła w obec całej ludzkości! Wolność a miłość—oto dwa skrzydła wielkiego czynu!... Niewola zabija — wojna słuszna ożywia. Złoto w ogniu nabiera słonecznego koloru. Człowieka młodym czyni dopiero zdarcie własnych kajdan! Jedyny ratunek zdeptać naturę tej hydry, łeb zmiażdżyć tej, która depce nasze stulecie i niweczy wszelkie dobre nasienie reakcyą!"

Senator trzęsący się powstał i usiadł... pozostał na miejscu—cisza uroczysta zapadła—nikt słowa dorzucić nie śmiał. Uwaga ogólna zawisła na ustach mowcy, który nieco ochłonąwszy z większym spokojem mówił dalej mimo giestów lalkowatych senatora.

— Niemaż nic świętego na tym padole, czegoby niewola nie zbezcześciła i nie zniżyła do nędzoty swego czynnika, by nadal pełznąć po ziemi było jej użytecznem, by sobie nie pozwoliła na przyszłość wolno zamarzyć i na własną rękę snując działać w olbrzymim kołowrocie tych światów, by wszelka wola poddała się niewoli. Ale sąd niemniej nastąpi! Wiedzą kędy i którędy wędrują gwiazdy niebieskie. Wy profanujecie, rozdzieracie i burzycie — one żyją w wiekuistej młodości i potędze, oto symbole ducha! tych nie zniweczycie!... Wyszydzajcie zwiastunów wolnej myśli z tej i tamtej strony Renu, ich błędy dowodzą ich ludzkiej ułomności, a ich zbłądzenie nawet szlachetniejsze jest, jak wasza rachuba. Kędy jest naród, który ukochał piękno i geniusz w swoich artystach a ideał uwielbia w rozmyślaczach swoich, tam musi żyć i miłość wolności, tam zejść musi słońce prawdy promienistej, które dosięgnie i roztopi lody egoizmu aż w ich piwnicach i zszlachetnić musi kiedyś wszelkie serce—bo natchnienie tworzy bohaterów!... W niem jest początek wszelkiej cnej ludzkości, siły, szlachectwa duszy i czynu! swoboda zeń rozpromieni się nad wszelkie boleści, i będzie spokojem chat i pałaców!... Ale gdzie, jak u nas obelgę zadają naturze w osobie człowieka obciążonego pętami społecznemi, tam więdnąć musi najlepsza część życia, pustem i martwem staje się wszystko dokoła, natomiast buja przemoc a z nią zachwalstwo, z troskami idzie pijaństwo rozpaczy, a za zbytkiem nędza i troska, na złe wychodzi niewolnikom wszelkie błogosławieństwo natury, a wszyscy bogowie pierzchają od tego obrazu... Germanio! żyjesz dziś w mózgach twych ideologów i w ustach twoich nieprzyjaciół. Wieszcze twoi najwięksi zobczali wędrują przez życie jak cierpliwy Ulisses, kiedy żebrakiem siedział pod drzwiami, gdy bezczelni biesiadnicy w komnatach jego wyprawiali dzikie orgie, pytając kto nam przywiódł przybysza dziwaka?... Ale jeszcze szumią twoje lasy rodzinna strono i płyną naprzód jeszcze rzeki twoje!..."

Nagle wszczął się wielki rozruch, pochwycono fałszywego gracza, który w sali wmięszał się w tłum słuchaczy. Począł się bronić. Jedni wzięli jego stronę, inni go obwiniali i wieczór zakończył się fatalną sceną. Zdarzenie to i poprzedzająca je mowa gruchnęły po całym Homburgu i dalej.

Wiek dziewiętnasty począł się wypadkami, które oddziałały mroźnie na wszelkie uczucia patryotyczne i zasmucić musiały wszelki umysł radujący się postępowi ludzkości. Kongres Rastadzki, deputacya państwowa, pokój Lunewilski i w Amiens, rozwarły przepaść między narodem a dzierzycielami władzy i wystawiły na jaw wszelkie słabe strony państwa mającego dzierzyć kaganiec oświaty. Nie brakło też na oznakach wzburzenia mimo tam zewsząd stawianych. Także w Sachsenhauzen, przedmieściu Frankfurtu nad Menem, gorąca młodzież porwała się do manifestacyi. Dnia 14. Lipca postawiono drzewo wolności na pamiątkę zburzenia Bastylli, z niektórych domów powiewała trójkolorowa chorągiew, a piosnki

powstańcze rozlegały się po ustroniach. Ramię śledcze sięgało wszędzie, podejrzenie i ciągła czujność przerażały ogniska rodzinne. Rewizye, aresztowania weszły w modę i rzecz prosta, że odezwanie się śmiałe Fryderyka w Homburgu nie uszło baczności zerkających ślepiów. Węzły towarzyskie zwolniały, przezorność i tchórzostwo, potwarz i mściwość walczyły o lepsze w gmachach sądowych. Dnie brzemienne niedolą!

Fryderyk nie myślał już prawie o swojem przejściu, osobisty los nadto miotał jego sercem, czuł, że coś o sobie postanowić musi i to niezwłocznie! Zuzanna stała się treścią jego istoty i fatum jego rzymskiej pielgrzymki. Wszędzie był mu obecnym obraz jej czysty i uroczy, postać szlachetna i wspaniała... Jej pomyślność, spokój, były mu powierzone—te zapewnić jak najprędzej czuł się obowiązanym. W obec tej myśli milczeć musiała nawet boleść bezbrzeżna, nawet najsilniejsza tęsknota na myśl r o z s t a n i a. Napisał list pożegnalny, którego treścią był jeden krzyk bolu wydartego z wnętrza człowieka. Posłał list na miejsce przeznaczenia i już był na drodze oddalenia się na zawsze z miasta. Jeszcze jedno spojrzenie ku ustroniu, które ona zajmowała, ku wszystkim miejscom, które opromieniła, — ostatnie posłał westchnienie przed daleką wędrówką.

W tej chwili stanął przed nim nieznajomy i wezwał go, by szedł za nim. Fryderyk prawie nie dosłyszał i nie zauważył jego wezwania — nieznajomy powtórzył wezwanie, wreszcie rzekł:

— W imię prawa, mój panie! jesteś aresztowanym!

Tu okazał papier sądowy. Tuż za nim szli zbrojni— widząc daremność obrony prawie obojętnie uległ młodzieniec, któremu błędnie w mózgu kołowały następstwa tego wypadku.

Milcząco poszedł za zbirami, po chwili zamknięta cela więzienna objęła bezsennego.

Ta jedna noc sprawiła, że w niej z młodzieńca dojrzał mąż. Przeczuł on teraz jasno całą przyszłość swego żywota. Ciemność, śmiertelna cisza, w której słyszał młot własnego serca, rozlegały się przerażająco do koła. Wszystkie demony rozpętanej fantazyi godziły na to pasujące się z losem ludzkie, sieroce dziecko i świtający poranek zastał złamaną, do niepoznania zmienioną postać.

Nagłe zniknięcie Fryderyka sprawiło silne wrażenie w domu Gontarda. Komisarz policyi, jakkolwiek osobisty znajomy, nie mógł oszczędzić domowi przykrych formalności—i miejsce tak poszukiwane za dni pokoju, ognisko nauki i świątynia muz była pustą, tchórzostwo polityczne unikało jej, jak domu zapowietrzonych. Czarne dnie nastały dla Zuzanny, teraz poczuła położenie swoje w całej pełni. Orbes dał jej poznać oględnie, że inny jeszcze powód połączył najniefortunniej ucieczkę liberalnego pisarza niemieckiego, z odkrytym spiskiem republikańskim, mocno rozgałęzionym. Tej samej nocy chwycono kilku młodych ludzi, ucieczką chcących się ratować, znaleziono przy nich broń, odezwy i listy, które całą sieć republikańską odkryły. Naturalnie, że nic takiego nie odkryto przy uczonym Orbesie, „pięknym doktorze," jak go zwano, a pamiętna filipika Homburska, w której tak rozsądnie — dwulicowo m i a ł t a k t się zachować, już sama odwróciła od niego wszelkie podejrzenie.

W biurze komisarza policyi, mocno zajętego, oznajmiono przybycie pewnej damy. Była nią Zuzanna Gontard.

Urzędnik oczom swym nie wierzył. Ta pani znalazła się raptem w gmachach policyi. Po chwili odrzekł:

— Nie żądaj pani odemnie tylko niepodobieństw.

— Pan więzisz niewinnego, za nim się wstawić każe mi najświętsza powinność i nie ma prawa etykiety ani płci ani wieku, któreby mi broniło wystąpić w sprawie ludzkiej, z wszelką bronią, do jakiej tylko będę się uciec mogła...

— Uwielbiam i podzielam zasady pani — po za tym domem, tam będę bronił każdego, jako człowiek — tu sądzić muszę, jako urzędnik!

— A jeżeli by was wasza nieomylność — omyliła?

— Gdzie dowody, że powód ucieczki tego pana był inny, jak tych wszystkich, których tejże nocy pochwytano?

— A jeśli dowód j e s t?

— Wtedy nie jest niepodobnem, by więzień natychmiast nie był wypuszczonym.

— Oto pan masz ten dowód, który wymogłeś — tu Zuzanna z nadludzkiem poświęceniem osobistem podała mu list pożegnalny Fryderyka—oddaję panu razem i cały skarb mej dobrej sławy i najdroższą pamiątkę dla j e g o uratowania, bo tylko ja wiem o niebezpieczeństwach, jakie mu grożą za kratą więzienną.

Komisarz zdumiony i nie bez wzruszenia przeczytał list, który złożył w zamyśleniu. Nastała pauza najstraszniejszego oczekiwania dla nieszczęśliwej niewiasty.

— Przyjaciel domu pani, nie urzędnik, zapytuję, czy pani rozważyłaś wszystkie skutki, jakie krok ten za sobą pociągnie? Ten list musi być przedłożony całemu kolegium sądowemu.

— Tak jak i w obec sądu mego sumienia i przekonania.

— Które jednak podsumowywać „musimy“ sądom i wyrokom świata. Krok jeden a przeszłość pani przepaścią oddzielić się może od jej przyszłości niepewnej...

— Raz jeszcze, czy może być wolnym, czy nie?

Komisarz przystąpił do biura, schował dokument między stosem papierów i rzekł poważnie:

— Uspokój się pani, obżałowany jest — w o l n y m!

(C. d. n.)

PRZEGLĄD RZECZY SŁOWIAŃSKICH.

Plemię słowiańskie jest wielkim śpiewakiem. Słowianin włożył w pieśni swoje najkraśniejsze utwory swego ducha, najszlachetniejsze i najwyższe objawy swej myśli, rozkosz i żal — więcej aniżeli uczucia swoje, bo istność całą w pieśniach wysłowił. To szczególniej odnosi się do Bułgarów.

Pieśń słowiańska jest obecnie na polu uniwersalnej poezyi pojawem zgoła samodzielnym, niewiele ma wspólności z jednej strony z symboliczną poezyą Indyi i klassyczną Greków, z drugiej z romantycznością narodów romańskich i germańskich, ale znajduje się w pośrodku. Spostrzegamy w niej bowiem cześć dla przyrody i odbicie się uczuć człowieka - i ta to właśnie harmonia dwóch ostateczności jest treścią słowiańskiej pieśni.

Z prajczyzny swej Indyi, którę można nazwać obszerną świątynią ku czci przyrody, przynieśli Słowianie

podstawy tego kultu do nowych swych siedzib i tak się nam wyjaśnia ta wielka cześć dla natury w piersiach naszych ludowych. Słowianin z radością pozdrawia pierwsze wiosenne jaskółki, pierwszy kwiatek rozwinięty na tętniącem łonie przebudzonej ziemi, żali się nad zwiędłą lilią, opadającą różą, z boleśnem sercem żegna ostatniego odlatującego ptaszka, w szeleście sypiącego się liścia jesienią, dźwięki pogrzebowe słyszy. Nawzajem natura staje się jego najlepszym druhem, z nim płacze, z nim się weseli, radzi mu, pomaga; służy, jest jego kolebką i grobem, stróżem aniołem przy urodzeniu, pociechą przy śmierci.

Dlaczego naprzykład u Germanów nie ma tej przyjacielskiej łączni z naturą, łatwo objaśnić: oni niszczyli ją—my pielęgnowali, Niemiec był myśliwcem—Słowianin rolnikiem.

W najstarszych pisemnych i ustnych pomnikach bułgarskich, w obyczajach i baśniach ludu znajdujemy wiele rzeczy, które nam żywo Indye przypominają. Prawdę tę wypowiedział, pomiędzy innymi, czeski Szafarzyk i Bułgar Rakowski. Nie rozszerzając się więc o tem dalej przechodzę do samej rzeczy.

Kto zna bohaterskie rapsody Serbów, nie łatwo przecież wyrobi sobie pojęcie o pieśniach bułgarskich. Oba te plemiona, oprócz podobnej mowy, miały oddawna i podobne koleje, a jako dawne sąsiady żyły w przyjacielskiem przymierzu. Tem się tłómaczy, że często i w obecnej dobie schodzą się pieśni bułgarskie z serbskiemi. Nie sądźmy jednak z pozoru! I w bułgarskich pieśniach spotkamy się często z owym bohaterem serbskim—Markiem królewicem, ale ledwie, że go poznamy — już ślad się zaciera. Oprócz tego mówią one o Wołochach, Grekach i Arabach, dotykają się Tatarów, ba. Węgrów i Niemców.

Nie wiem, czy poczytać to należy za fatalną wskazówkę doli słowiańskiej, ale wszystkie nasze pieśni tchną głębokim wewnętrznym bolem, nieukojoną tęsknotą, cichym smutkiem. Słowianin spiewa w żalu i w radości, czy w niespełnionem pragnieniu, czy w duszącej trosce, po zdradzie przyjaciela i w niewzajemnej miłości. Jednak to tchnienie smutku nie u wszystkich plemion słowiańskich równie natężone — i to zauważyć potrzeba.

Są w rossyjskich ludowych pieśniach rozpaczliwe okrzyki, tkliwa tęsknica w maloruskich dumach, oburzenie w czeskich pieśniach, ale pod niemi kryje się często uśmiech i żartobliwość serdeczna, bułgarskie zaś i serbskie spiewy mają w sobie jakąś męzką głębokość, która nigdy w huczną wesołość nie przechodzi.

Tu należy zauważyć, że kiedy pieśni czeskie są wyraźnie liryczne, pieśni bułgarskie są czysto epickie a nawet w tak zwanych pieniach „liubownych" (miłosnych) nie znajdzie się ani troszkę subjektywności lub lirycznego pierwiastku. Czasami chyba trafi się dyalog. Fakt ten wypływa z powagi ich, powaga zaś owocem stosunków narodu i otaczającej go natury. Nieustanną walką zajęty Bulgar nie mógł dojść do tego procesu moralnego, którego płodem jest poezya liryczna. U nich było każde indywiduum bardziej samodzielnem, więcej twórcą kolei swego życia, niżeli u nas i w Czechach, gdzie każdy stal się oddawna członkiem organizmu państwowego, gdzie życie jednostki nie mogło tak łatwo wyboczyć z zakreślonych torów.

Cóż dziwnego więc, że potężna wola, osobliwie męztwo i siła mężów znamienitych, znalazły swoich spiewaków, którzy czyny wielkie przenosili z pokolenia w pokolenie?

W Czechach była także pora bohaterskich rapsodów; do niej odnoszą się „Zabój," „Cestmir", karty rękopisu królodworskiego; śpiewy te jednak nie były snać nigdy popularnymi, a jeśli i były, nie było środka, którymby aż do czasów naszych w ustach ludu się utrzymały.

U Serbów starcy, ślepcy (gęślarze) przegrywając sobie na gęśli, w spiewie przenieśli aż do dziś sławę Marka bohatéra i ostatnich narodowych szermierzy; u Bułgarów zaś tę szczytną rolę konserwatora tradycyi mają dziewczęta i niewiasty młode.

W uroczyste święta, jakoto: na Wielkanoc, „Gjurgjew deń" (św. Jerzego) i inne, jakoż i przy oczewianiu dziewcząt i innych obrzędach zebrane dziewczęta, ustrojone świątecznie, tworzą kolo (buł. oro, horo,—chór, korowód). Zabawa ta podobna do tańca południowych Słowian odbywa się tak: Dziewczęta podawszy sobie ręce utworzą koło, kręcą się i spiewają. Jedna intonuje zwrotkę, inne wpadają i dospiewują pieśń razem. Taktora ma najdźwięczniejszy głos i najwięcej kraśnych umie pieśni, nazywa się „chorowodką" t. j. królową tańca.

W pieśniach samych mówi się o trzech takich kołach, z których jedno tworzyły dziewczęta, drugie mężatki, trzecie młodzieńcy.

Wywiodę z pieśni przykłady, w których jest mowa o takiem kole, aby wykazać jego ważność:

Jovan złapał wilę *) i ożenił się z nią. Trzyma przez trzy lata zakutą, ale na Wielkanoc puszcza ją grać z innemi w koło.

Święty Dymitr morduje obrowskiego smoka, któremu dziennie dawano po młodej dziewczynie, aby nasycił żarłoczność. Skoro święty zadał mu pierwszą ranę, wyrzucił smok trzysta sześćdziesiąt dziewcząt żywych i kwitnących, które uchwyciwszy się za ręce zawiodły koło.

Wrażenie otrzymane z pieśni bułgarskich porównać można do podróży przez ich krainę. Idziesz i widzisz to obszerne pole falujące ciężkim kłosem, to doliny Bałkanu z uroczymi ogrodami róż, a tuż i Bałkan z ciemnymi, szumiącymi lasy i dziwną krasą urwisk skalistych, słyszysz i piszczałkę pasterską i brzęk broni hajduckiej, kukułki kukanie i skrzydeł orlich szelest, a wysoko nad tobą aż w błękitne obloki unosi się sokół siwy. Kilka przykładów pokaże w jakim stosunku zostaje natura do człowieka — Bulgara.

Pod wysokim ciemnym gajem leży hajduk Veljko ze swym synem:

„Poduszką mu czarna ziemia z trawą zieloną,
„Nakryciem mu złote niebo z srebrnemi gwiazdami."

Albo nad śmiercią młodego hajduka:

„. . . . . zapłakała twarda góra,
„A na górze gaj wysoki, a na gaju cienkie liście,
„A na gnieździe młode ptaszki, a na ziemi gęsta trawa."

Turcy-janczarowie wpadli do kraju w jassyr biorąc dziewki, niewiasty i młodzianów — potem się niemi podzielili. Późnym wieczorem wyszedł młody janczar przed swój namiot, popatrzy się w górę, popatrzy sie na dół

„Na czarnej ziemi błękitne płomienie,
„Krwawy deszcz spada z błękitnego nieba."

Zwróci się tedy wojak do swej niewolnicy i spyta czy miała brata i po czem by go poznała. Dziewczyna odpowiada: „Miałam ja brata a poznałabym go po ranie od broni siecznej na głowie, po ranie od broni palnej na piersi." I młody janczar poznaje siostrę; przypadek taki gdzie natura sama strzeże, ażeby nie łączyli się ze sobą krewni najbliżsi, w pieśniach nie jedyny. Wielka część spiewów junackich na tem osnuta.

*) rusałkę.

Mąż odchodzi od młodej żony do wojska. Przy pożegnaniu żona mu daje kwiatek z temi słowy:

„Jeśli kwiatek ten uwiędnie
„Tom niewierna była tobie.“

Jak się obchodzi koń z człowiekiem, widać z następnego urywku. Janko leży zabity —

„Jego koń po nad nim stoi,
„Grzywa głowę mu ocienia,
„Ogon chroni przed muchami,
„Oko roni łzy drobniutkie;
„Nad nim stoi — przy nim pada,
„Przy nim pada — sam bez ducha.“

Stojan bezsilny leży na Bałkanie, a nie ma ktoby go pielęgnował. Natura się o to postarała:

„Dojrzeli go dwaj orłowie,
„Dwaj orłowie bracia mili
„W dziobach wodę mu nosili,
„Cień skrzydłami mu czynili.“

Wdzięczny Stojan mówi do orłów: Jak mnie dusza opuści, białego ciała się najedzcie, ciemnej krwi się napijcie. A orły odpowiadają:

„Nie przyszliśmy tu Stojanie,
„Byśmy się twej krwi napili,
„Lecz przyszliśmy tu Stojanie,
„Pielęgnować cię chorego.“

On ich na to nazywa swymi braćmi i pyta, czy znają jego dwór. Niech tam polecą, na środku podwórca na wysokim dębie siędą i biedę jego starej matce zwiastują.

To jedno poselstwo. W innem miejscu dziewki tańczą w kole, nadlatują trzy orły; jeden trzyma głowę, drugi rękę, trzeci nogę z mężkiego ciała. Pierwszy orzeł upuszcza krwawą głowę, ta spada w środek koła. Jedna z dziewcząt poznaje w niej głowę swego brata. — W nabożnych pieśniach anieli sprawują poselstwa.

W innych pieśniach posłami są jaskółki, słońce i miesiąc, wietrzyk i obłoki.

Króla Matyasa Turcy sądzili za to, że zelżył ich wiarę. Sądzili i osądzili. Miał do wyboru poturczyć się albo wisieć lub być spalonym. Najmłodsza siostra mu radzi:

„Niebieszże się, nieturczże się
„Raczej, bracie, daj się spalić.“

On usłuchał. A kiedy już stoi na stosie płonącym, nagle silny wiatr powionie,

„Strugi deszczu lać poczęły,
„I zgasiły silny płomień.“

Przyroda wykonywuje klątwę pokrzywdzonego i sprawuje sądy, wykrywa winę, karze zbrodnię a oczyszcza skalaną niewinność. Matka zamordowała nocującego wędrowca — był to jej syn. Koń jego wydał zbrodnię rano.

Brat ma podejrzenie na siostrę, że ona zabiła jego syna. Kiedyś mi zabiła dziecię, ja ciebie zabiję! Siostra prosi aby dworu krwią nie walał, ale zaniósł ją na górę zieloną, tam jest sucha jedlina, spróchniały dąb i wyschłe źródło. Jeżeli mu dziecię zabiła, to niech nigdy to źródło bić nie zacznie, niech dąb spruchniały takim wiecznie zostanie a jedlina się nie rodzi!.. Doniósł ją do góry (lasu) zielonej, źródło trysło, dąb spruchniały się zazielenił i jedlina odrosła.

Klnie matka swego syna, aby wpadł w niemoc, orły żeby mu grób kopały a kawki księżami były.

Tu także i sny przynależą.

Córce marzy się we śnie „gergjov“ (przyrząd do wyszywania, nakształt stołu) a nad nią sokół ze złotym dzwonkiem na karku z dwiema plamami na skrzydłach. Matka tłumaczy: „Gergjov“ to znaczy ślubny kobierzec, siwy sokół — miły Mikołaj, złoty dzwonek — to swaty a dwie czarne plamy — księża, co będą wam ślub dawać. A córka na to: Stara jesteś a nierozumna! „gergjov“, to trumna, siwy sokoł, to ja, złoty dzwonek — twój głos, dwie plamki są księża, co spiewać będą nademną.

Dalej przedmiotem pieśni bulgarskiej jest miłość do rodziny i ojczyzny, przyjacielskie poświęcenie i wierność, szczególniej męztwo i niezłomna wiara. Co do treści można by je podzielić na tak zwane pieśni „o wilach“ (rusałkach), pieśni pobożne (kościelne), junackie czyli bohaterskie i hajduckie, pasterskie i miłośne, do nich dodać trzeba pieśni żałobne i obrzędowe, w zbiorze braci Miladenowców zawarte, oraz inne przygodne w różnych zdarzeniach życia spiewane.

(Dok. n.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(*„Nerwowi.“ — „Zbójcy.“ — „Pan Geldhab“*).

Ten, co to pisze, już tyle razy Jeremiaszową wyrzekał skargą na dzisiejszy kierunek literatury dramatycznej we Francyi, iż prawdziwe ma wytchnienie, mogąc bez goryczy powiedzieć słowo o 3 aktowej komedyi Teodora Barière i W. Sardou: „Nerwowi“ przedstawionej dwukrotnie w zeszłym tygodniu (d. 4. i 5. b. m.) Sztuka ta napisana z szalonym a gładkim humorem, wolnym od obrazów półświata, przewija się szeregiem kolizyi wielce komicznych, w jakich się poplątały losy trzech „nerwowych“ starców, pragnących wydać za mąż wspólną wychowanicę a niechcących z wrodzonego egoizmu poświęcić grosza na posag. Autorowie komedyi odbyli głębokie studyum patologiczne nad tym stanem cielesnego i umysłowego rozdrażnienia, który nazwali nerwowym. Tacy ludzie próżniactwem i czczością życia wytworzeni uchylają się od wszelkich mocniejszych wrażeń, a gdy nadejdzie chwila, w której takie wrażenia tłoczą się ze wszystkich stron, pojmiecie co za rozpacz opanować musi ich apatyczne umysły! Celem też komedyi jest wyzyskanie komiki tkwiącej w takiem powikłaniu, a cel ten został przez dowcipnych autorów zupełnie osiągniętym. Intryga za to sztuki nie ma żadnego sensu logicznego i służy tylko za płótno, na którem odmalowano kilka wybornych typów. Bardzo należy pochwalić, że autorowie nie wstąpili na szersze pole i nie stworzyli poważniejszych sytuacyi, bo „nerwowy“ temperament, jako głębszy motyw byłby niedostatecznym i w sztuce nawet wstrętnym. Zawsze to bowiem tylko pewien rozstrój fizyczny — wyprowadzać zeń kolizye bardziej na seryo pojęte, sprzeciwiałoby się zdrowo pojętej istocie sztuki. Tak zaś jest wszystkiego w miarę, a śmiech wzbudzony komedyą jest doprawdy — bez miary... Wykonaną była zadowalniająco. PP. Dobrzański (Marteau), Podwyszyński (Bergerin) i Linkowski (Tuffier), stworzyli trzy postacie zupełnie odrębne, wielce typowe i wierne, których wspólnem tłem była tylko zbytnie naprężona drażliwość nerwów. Podnosimy tu również pełną lekkiej swobody grę pana Woleńskiego (Cezar), który umie nadawać bardzo miły, bo na wskróś naturalny wyraz postaciom stworzonym przez się w komedyi. Jest to przymiot, który oby najrychlej przeniósł na pole dramatu. Pani Woleńska (Marya) była również nader powabną złośnicą.

W Niedzielę (d. 7. b. m.) odegrano 5-aktową tragedyę Szylera „Zbójcy“. Było to jedno z przedstawień, które silniej napręża myśl widza i do rozleglejszych pobudza go zastanowień. Dziwne są przejścia tej tragedyi. Od czasu, jak pierwszy raz ją przedstawiono, obudzała

zawsze szczery entuzyazm u widzów, a równocześnie surowo była potępianą przez krytykę. Młody i burzliwy umysł Szylera, gdy pisał „Zbójców“, rozgoryczony despotyzmem, jakiego stał się pastwą w „szkole Karola“, lubował się w ostatecznościach i negacyi. Późniejszy, ze światem pojednany Szyler, który swemu najpiękniejszemu bohaterowi każe umierać z przyznaniem na ustach, „że świat jest piękny“, nie byłby stworzył postaci pozbawionej do tego stopnia wszelkiej pozytywnej treści moralnej, jak Franciszek Moor. Ale w chwilach, gdy w duszy jego ognistej wykluwały się te wszystkie pojęcia wolnomyślne, na pozór burzące harmonię świata a właściwie przychylające ludziom ideał, tworzenie takich nie po ludzku ukształtowanych postaci było naturalnem. Jest to charakterystycznem tak u Szekspira, jak u niego, że zaczynali swój zawód śmiało rzuconą negacyą, ażeby kiedyś zwolna i logicznie zażeglować do prawdy. Nie dziwota, że przed umysłem młodym a skrajnym prawda zawsze się kryje, jak posąg Izydy w Sais... Dlatego postaci Moora nikt nie przyzna uprawnienia w życiu, jest to synteza złego rozprószona w jednostkach a zebrana tu w jednym charakterze. Nie w tem jednak ma swoje źródło pewien niesmak estetyczny, jakim dotyka nas widok tej postaci. Niesmak rodzi się z gminnej płaskości motywów, które popychają Moora do zbrodni, jak i z owego braku wszelkiej jaśniejszej w nim strony duchowej, któraby swoim płaszczem, choć po troszę przysłoniła nagie kształty występku. Gdyby Moor postawiony był na szerszem polu działania, gdyby w tragedyi grały rolę jakie żywioły dziejowe, powszechno-ludzkie, wielka zbrodniczość jego miałaby szerszy horyzont do rozprzestrzenienia się i okazania w pełni swojej istoty. Przy tak szczupłej jednak perspektywie scenicznej tworzy się brak harmonii pomiędzy celem a środkami — gubi się prawda, która na innem tle mogłaby wywrzeć głębokie wrażenie. Tu się różnię od wielu utartych sądów, które zaprzeczają Franciszkowi Moor prawa w sztuce, dlatego, że jest skończoną negacyą prawideł moralnych świata. Każdy bohater oddany wyłącznie i całkowicie swej idei (a tak być musi!) jest zaprzeczeniem ogólnych prawideł — a przecież pozwalamy być mu charakterem poetycznym dlatego, że działa z przekonania. Otóż i Moor ma swoją starannie opracowaną, z ponurego rozmyślania długich godzin wysnutą filozofię życia, która się stała jego wiarą i przekonaniem, a zarazem siłą popychającą go do zdruzgotania „przesądów“ ludzkich. Moor n i e c z u j e, że się łudzi, że kłamie przed sobą, — gdyby to czuł, a m i m o to działał występnie, byłby postacią już niezaprzeczenie pozbawioną znamion poetycznych, ale że Moor w i e r z y w swą filozofię, a pogardza pojęciami świata, że podług tego systemu wiary żyje, to mu nadaje uprawnienie do pewnego stopnia. Że się Moor pomylił, że jego filozofia była raczej kłamstwem a prawdą stara moralność świata, że taką omyłką na szwank naraził istnienie wieczystej moralności, dlatego ulega rozprzężeniu wewnętrznemu duszy i ginie. Tryumf wyższych pojęć jest zapewniony, ale Moor, wychowany pod takimi wpływami, napojony goryczą i odrazą do świata, m o ż e także ż y ć w sztuce... Gdyby żył jeszcze przy ostatniem zapadnięciu kortyny, dałby Szyler policzek duchowi prawdy, ale że go już nie ma w ostatniej scenie, że się sam poprzód zniszczył, jak niweczący wszystko i siebie d u c h k ł a m s t w a, — budowa moralna świata jest uratowaną. Nie należy jednak poetom za często igrać z postaciami tak wyśrubowanemi jak Franciszek Moor, bo tam w zawrotnych sferach fantazyi noga się łatwo powinie.

Pan Ladnowski (Franciszek) nadał swemu pojęciu tej roli piętno odrębne... W jego grze wydaje się ta postać przepołowioną, dusza Moora areną ciągłego sporu pomiędzy sumieniem a występnymi popędami. Nie jest to jeszcze postać o klasycznym spokoju zbrodni, jak u Jana Królikowskiego, który w dwóch pierwszych aktach, ma już tylko wyraz ironii, ale człowiek pasujący się i gorączkowym ciągle dręczony niepokojem, jakby przeczuwał intuicyjnie kruchość swej przewrotnej sofistyki. Ztąd u p. Ł. postać Moora w całym jej rozwoju jest napuszczoną kolorytem ponurym; dusza jego niweczy się ciągłym ogniem własnych piersi, sumienie przeziera ciągle przez sztuczną powłokę sofizmu i mąci każdy moment życia. Na gruncie tych ciągłych, chociaż utajonych udręczeń duszy łatwiej umotywować później obudzenie się gwałtowne sumienia i całą wielką scenę aktu V. Podziwialiśmy u p. Ł. suchy, wypłowiały koloryt, jaki nadawał swej namiętności, ilekroć nią wybuchał ku Amelii. Taką być właśnie ta namiętność powinna, gdyż jest ona więcej objawem brutalnego znęcania się Moora nad sierotą, gdy został raz panem zamku, aniżeli szczerą potrzebą serca. Cynizm więc i zwierzęcość powinny w niej zastąpić wszelki wyraz duszy. W ogóle cała gra p. Ł. jest bardziej wewnętrzną, niezawisłą od kolei zdarzeń, ale z siebie snującą wątek życia i upadku.

P. Woleński (Karol) stanął na przeciwległym kresie artystycznej fantazyi i duszę zastąpił efektem, wspaniałą to prawda, ale próżną deklamacyą. Prometejski zapał tego młodzieńca, który w duszy pieści dwa ideały — Amelię i nowy ustrój świata, jego delikatna fantastyczność i razem gorycz dla ludzi, od których tak został pokrzywdzonym, zatarły się bardzo w grze p. W. i zjednoczyły w jednostajnym wyrazie rzewności, jaki nadawał wszelkim silniejszym wybuchom Karola. Panna Rudkiewiczówna (Amelia) nie umiała powlec swej roli idealnym kolorytem, jaki jej nadał Szyler; głos jej i fizyognomia zamało uwydatniły wyraz niezgłębionej boleści, słowa Amelii sączyć się powinny tak rozłzawione, jak jej wzrok szklanny... P. Wardzyński (Roller) nakreślił swą niewielką ale piękną rolę szlachetnymi rysami, pełnymi szczerej naturalności i jędrnej siły. P. Dębicki (osoba sądowa) przybrał wyborną, po wielu scenach niemieckich używaną maskę i przeprowadził tak pojęty charakter konsekwentnie i bez łatwej przesady. Nakoniec zasługuje na gorący poklask wprowadzona innowacya, w skutek której skończono tragedyę najtrafniejszym pomysłem Szylerowskim, gdzie on Franciszkowi samemu każe się udusić. Jest to jedynie poetyczne i rozwojem całej sztuki uzasadnione zakończenie.

Jeden z najwyborniejszych typów Fredry przedstawił we środę (d. 10. b. m.) p. Dobrzański — „Pana Geldhaba“. Należy przyznać młodemu artyście naprzód wielką zręczność w charakteryzowaniu się, a następnie prawdziwą płodność fantazyi, która mu pozwala w rdzennie różnych występować postaciach, a zawsze nadawać im kształty oryginalne, różne... Przy tak bogatych zasobach twórczości i sumiennem zawsze studyum życia i sztuki, może rozwinąć się z czasem w bardzo pożytecznego artystę. W roli Geldhaba potrafił uchwycić właściwy jej ton, kojarząc w urozmaiconej mozajce pyszałkowatość dorobkiewicza, egoizm i tchórzliwość, brak wszelkiego oparcia na własnej sile charakteru i gminne maniery, powleczone z lekka tylko małpowaną ze salonów ogładą. Szczególnie dobrze ujętym był wyraz roskosznego Sybarytyzmu i rozlubowania we własnej nędznej figurze. Komika p. D. nie wykraczała po za właściwą miarę, jakkolwiek należy mu wytknąć jedną, ogólną wadę tej roli... Jego Geldhab jest przecież za p ł a s k i m. Jakąbykolwiek była jego prozapia i wrodzona pospolitość umysłu, ociera on się ciągle o sferę wyższego tonu i

światowych manier; natury zaś tak przywiązujące się do pozorów i błyskotek, jeżeli co, to z pewnością najpierw pochwycą i przyswoją sobie zewnętrzny blichtr i polor towarzyski. Otóż byłoby w Geldhabie motywem dla artysty bardzo wdzięcznym, uwydatnić obydwa czynniki, które się złożyły na tak szacowną postać, z jednej strony wrodzoną mu gminność, z drugiej lekki pokost wykwintnego tonu. W przeciwnym razie charakter nabiera pewnej błazeńskiej karykaturalności..

Bronisław Zawadzki.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

LITERATURA i ESTETYKA. *Album historyczne muzeum narodowego w Rapperswylu* ma wyjść z druku w ciągu bieżącej wiosny. Będzie to edycya ozdobna z drzeworytami, zawierająca kilka źródłowych prac, jak rozprawa: *„O zaborach szwedzko-moskiewskich bibliotek i muzeów polskich,“ „Spis wygnanych Polaków na Sybir od St. Leszczyńskiego do roku 1860“* itd. Redakcyą zajmuje się J. I. Kraszewski.

— W Pradze wychodzić zaczął: *„Slawnik* (Panteon), *zbiór portretów, autografów i żywotów znakomitych mężów słowiańskich,“* nakładem Bartla Praga 1872. Tom I. w wydaniu ozdobnem zawiera staloryty Jungmana, Palackiego, Havliczka i Karola Skrety, jakoteż ich wyczerpujące życiorysy. Wydawnictwo to pojawiać się będzie w miesięcznych zeszytach.

— *Otto Ludwig. Schakspeare-Studien. Aus dem Nachlasse des Dichters, herausgegeben von Moritz Heydrich.* Leipzig. Cnobloch 1872. Książka napisana z głębokiem uwielbieniem dla Szekspira wyprowadza z jego dramatów prawidła wszelkiej kompozycyi dramatycznej. Zawiera mnóstwo śmiałych i oryginalnych poglądów na naturę dzieł angielskiego poety, jakkolwiek przyznać należy, że potępiając wielu dzisiejszych poetów na tem polu nie chce uwzględnić zmienionego ducha czasu, który musi na każdej formie poetycznej wytłoczyć swoje piętno.

POEZYA. *Nastasia, dramat w 5 aktach osnuty na tle dziejów Rusi Czerwonej z drugiej połowy w. XII, przez Denisa z nad Seretu.* Lwów 1872. Bohaterem dramatu jest Jarosław Ośmiomysł, książe halicki (1153—1187). Jakkolwiek utwór posiada wiele usterek, (np. brak konsekwencyi w charakterach lub nieprawdopodobieństwo tychże), przyznać atoli należy autorowi trafny wybór przedmiotu w chwili pełnej dramatyczności i zajmujący układ, zkąd wróżyć należy powodzenie sztuce na scenie ruskiej.

— *Artur Wołyński* przełożył na język polski Tassa poemat: „Jerozolima wyzwolona.“

— *J. M. Himmelblau* w Krakowie ogłasza nowe wydanie poezyi *Edmunda Wasilewskiego.*

— W Pradze zaczęła wychodzić w nader ozdobnej edycyi *Biblioteka utworów dramatycznych oryginalnych i tłumaczonych* pod red. Józefa Stolby. Tom I zawiera komedyę Stolby: *„Zakazane owoce.“* W II tomie wyjdą: *„Śluby panieńskie“* Fredry w przekładzie M. Vavry.

POWIEŚCI. *Władysław Sabowski. „Piękne za nadobne,“* humoreska. Poznań. Leitgeber 1872.

— *J. Zacharyasiewicz. Człowiek bez jutra,* powieść. 2 tomy. Warszawa. Gebethner i Wolf. 1871. Nastąpi obszerniejszy rozbiór.

— *Gustav vom See (G. von Struensee). Krieg und Friede,* romans. 4 tomy. Berlin. Jancke 1872.

HISTORYA. *Ks. Marc. Śleczkowski* napisał dwutomowe nader ważne dzieło: *„Historya kościoła w Polsce,“* które oczekuje nakładcy.

— *Artur Wołyński* wykończył dwa obszerne dzieła: *„O Galileuszu“* i *„Kopernik w Italii“* czyli: *„Pomniki włoskie do monografii Kopernika.“*

— *Tomek. Diejiny miesta Prahy.* Tom II. Praga 1872. Zawiera czasy Karola IV, chwilę więc najwyższego wzrostu tego miasta, które wówczas było rezydencyą Cesarstwa niemieckiego i posiadało najstarszy we wschodniej Europie uniwersytet.

— *Sir Henry Lytton Bulwer. Geschichtliche Charaktere, übersetzt von Dr. Karl Lanz.* Świeżo wyszły tom II zawiera obszerne życiorysy: Mackintosha, Cobbetta i Canninga.

— *Paris pendant les deux sieges, par Louis Veuillot.* 2me edition. 2 vol. Paris. Palme 1872.

— *Comte de Keratry. 4 Septembre et le Gouvernement de la defense nationale.* Paris. Lacroix et Verbeckhoven 1872.

— *Die 73 Tage der Commune von Catulle Mendes,* przekład z francuskiego. Wiedeń. Hartleben. 1872.

— *Les 31 séances officielles de la Commune.* Paris. Lachaud 1871. Najdokładniejszy, bo protokolarny obraz rządów komuny.

— *Rogge W. Oesterreich von Világos bis zur Gegenwart.* I Band. Obejmuje czasy absolutyzmu. Lipsk. Brockhaus. 1872. Dzieło opracowane w duchu wolnomyślnym pod względem zasad politycznych i społecznych, ale tchnące nienawiścią ku rozwojowi słowiańskich narodowości w Austryi. Nader bystra charakterystyka wybitnych naówczas postaci Bacha, Kempena, Windischgrätza i innych.

— *Vivien de Saint-Martin. L'anneé géografique, revue annuelle des voyages.* Paris. Hachette 1872. Dokładny podręcznik geograficzno-etnograficzny.

NAUKI SPOŁECZNE. *Macdonnel John Survey of Political Economy.* 1872. Zbiór studyów nad żywotnemi kwestyami ekonomii społecznej, napisany przystępnie i zajmująco. Macdonnel liczy się do szkoły zachowawczej ekonomistów, różniąc się od Smitha, Ricarda, Maltusa i Milla w pojęciach kapitału, pracy i zarobku. (*Tyg. W.*)

NAUKI PRZYRODNICZE. Wyszedł świeżo nowy: *„Rocznik Towarzystwa technicznego lwowskiego.“* Tom II. 1871. Lwów, nakładem Tow. 1872 i zawiera między innemi ciekawe rozprawy dra Czesława Rodeckiego: *„O zastosowaniu chemii do wyrabiania środków pożywienia“* i *„O zdrowem utrzymaniu pomieszkań i budynków szkolnych.“*

TEATR i SZTUKI PIĘKNE. W *teatrze lwowskim* przygotowują *„Konfederatów Barskich“* Mickiewicza, *„Filibertę“* Angiera, *„Stasia“* K. Szajnochy i *„Króla Ryszarda II.“* Szekspira. — W *teatrze krakowskim* przedstawią w tych dniach nową 1-aktową komedyę Wład. hr. Koziebrodzkiego *„W jesieni.“* — W *teatrze warszawskim* przedstawiono 1-aktowy dramacik wierszem E. Manuela: *„Robotnicy“* z popisową rolą J. Królikowskiego. — *Wystawa obrazów* zostanie otwartą we Lwowie d. 25. bm.

— *Tytus Maleszewski* w Poznaniu wykonał obraz: *„Tadeusz Rejtan niszczący akt konwencyi r. 1772.“* Rysy twarzy Rejtana wykonane podług wiernego obrazu Smuglewicza.

— *Hr. Tad. Tyszkiewicz* mianowany został dyrektorem król. akademii muzycznej w Berlinie.

— *Repertoarz lwowskiego teatru w przyszłym tygodniu.* Niedziela: *Poczwarka;* Poniedziałek, 1-szy raz: *Filiberta*—1-szy raz: *Czuła struna;* Wtorek: *Faust;* Sroda, 1-szy raz: *Klucz Metelli—Czuła struna*—1-szy raz: *U tancerki;* Czwartek: *Filiberta—U tancerki;* Piątek: *Stasio;* Sobota: *Marya, córka pułku;* Niedziela: *Konfederaci Barscy.*

NEKROLOGIA. † *Jakób Ignacy Waga,* sławny botanik i autor: *„Flory polskiej“* umarł d. 23 z. m. w Łomży.

— *Placyd Jankowski (John of Dycalp),* doktor teologii szyzmatyckiej, dowcipny autor szeregu humorystycznych powieści: *„Zaścianek,“ „Ostatni upior w Bielchradzie,“ „Pisma przedślubne i przedsplinowe“* itd. umarł d. 11 z. m. w Żyrowicach powiecie Słonimskim.

Składka na fundusz szkół ludowych.

Otwieramy w Redakcyi naszego pisma składkę na pomnożenie ogólnego funduszu oświaty ludowej, od której wyłącznie zależy przyszłość kraju. Sądzimy, że Czytelnicy nasi przyczynią się chętnie do wspólnego celu, przesyłając na ręce nasze małą cząstkę swego grosza.

Na początek: Redakcya „Świtu“ 10 zlr. — Składka na wieczerzy, danej dla p. Łaunowskiego 17 zlr. Razem 27 zlr.

Wydawcy: Romuald Starkel i Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedz. Zyg. Ułanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.